

Seks obłaskawiony

WIEKSZOŚĆ naszych współczesnych dramaturgów wychodzi z założenia, że jak już nawiązywać, kontynuować, czy polemizować to tylko godnie — na linii biegnącej od Mickiewicza po przez Wyspiańskiego po Gombrowicza, wśród narodowych obsesji i nadwiślańskich kompleksów. Żeby jednak sięgać po brukowe romansidło, zabarwione na dodatek „niebezpiecznymi związkami” oraz po grafomańskie wiersze — to zdarza się nieczęsto. Ale Tadeusz Różewicz zdążył już nas przyzwyczaić do tego, że tworzy „niekonwencjonalnie”, że, wydrwiwa i kpi sobie z tworzywa literackiego, z reguł dramatu, z teatru, z czytelnika i widza wreszcie. O jego twórczości dramaturgicznej krytyka napisała już tomy — „że technika collage’u”, że psychologia snu, że ludzka termitiera, że destrukcje tradycyjnych reguł dramatu, że teatr czynności prozaicznych, że teatr niekonsekwencji i wiele jeszcze uczonych wywodów, o których żeby pisać, nie starczyłoby tutaj miejsca.

Nie sposób także jednoznacznie i od początku do końca określić „o czym jest” „Białe małżeństwo”. Generalnie biorąc, to rzecz o seksualnych i obyczajowych obsesjach, o naturze przeciwstawionej kulturze, o niepełnym buncie, kpina z antyzytycznych postaw psychicznych oraz poetyckiego sentymentalizmu. Ale to również dramat historyczny, umiejscowiony przez autora w konkretnym czasie: przełom XIX i XX wieku czyli belle epoque z całym swoim dekadencją, nastrojem i delikatnie mówiąc — rozluźnionymi obyczajami. To także prześmiewki z naszej tradycji literackiej — na wiązania i cytaty ze wspomnianej już „Poganki” Narczyży Żmichowskiej, wierszy Komornickiej, Micińskiego. Jest nawet trawestacja mickiewiczowskiego grzybobrańia z „Pana Tadeusza”. Jednak owo historyczne tło zdaje się być jedynie „starymi dekoracjami”, w których rozgrywa się rzecz jakże aktualna w dobie demonstracji seksualnych, młodzieżowych kon testacji.

W „małym dworku” rodzina — Byk — Ojciec goniący „za wszystkimi kobietami od obory do kuchni, od kuchni do salonu”, napadający oziębia seksualnie Matkę, co to „nie zaznała szczęścia w miłości”. Dwie niewinno — obsceniczne córeczki: Bianka i Paulina, przypominające witkacowską Zosię i Amelkę zupełnie jak z rysunków Lutczyzna. Dziadunio, który łudził się, że starość ochroni go przed rozpustą, a tymczasem niekłamana radość sprawiają mu podejrzane zabawy z Paulinką; Ciotu-

nia — kipiąca kobiecość i Kucharcia, co to ja „Pan od tyłu ciszką zaszedł”. No i Beniamin, przyszły mąż Bianki — rozpoetyzowany, z głową w chmurach, obiecujący „miłość idealną” i „białe małżeństwo”.

W gdańskim teatrze „Białe małżeństwo” przygotował Ryszard Major. Jest to trzecia dopiero inscenizacja tego dramatu na naszych scenach (o ile bowiem ma Różewicz szczęście do krytyki, to nie ma go do inscenizatorów) — po warszawskiej komediowej

odzywają, ale to wszystko. A damska golizna — która w wypadku osób młodych jest widowiskiem estetycznym — wcale sprawy nie ułatwia. Chodzi bowiem o to, aby zna leżać teatralny ekwiwalent owego rozdrażnionego niepokoju, owej perwersyjnej atmosfery, którymi przepełniony jest utwór Różewicza.

Przy swoich chuciach pozostał Byk — Ojciec i Dziadunio, ale i zapewne dlatego, że

parodiujące tani, poetycki sentymentalizm. I tajemnicza, obrośnięta bluszczem karetą, zapomniana i porzucona zapewne w jakimś ogrodowym zakątku, będąca miejscem dzieciennych zabaw „w doktora” i późniejszych pańskich nieskromnych zwierzeń; miejscem, w którym będą się odbywać wymaginowane przez Biankę rozpustne orgie.

Całe przedstawienie utrzymane jest w tonie komediowym i tak też prowadzą swoje role aktorzy. Siostry: Bianka — Tomira Kowalik i Paulina — Zofia Walkiewicz mają co prawda swoje „chwilę buntu”, ale protesty te jakież infantylne i jakież żalonne — trudno je przyjąć poważnie. Obie aktorki dobrze są „dostrojone” do siebie — Z. Walkiewicz, obdarzona dużym talentem komicznym, bezpośrednia i doskonale rozumiejąca jak ten świat stosunków damsko — męskich jest urządzony, i T. Kowalik — smętna, strachliwa, jakby nie z tego świata, grzeszy jednak nie najlepszą dykcją i zapomina o nośności głosu na teatralnej sali (a stara to prawda, że gra się dla rzedów ostatnich, a nie dla pierwszych). Para małżeńska: Matka — Halina Słojewska i Ojciec — Stanisław Michalski, świetnie rozgrywający pantomimiczną scenę corridy.

I największa, wspaniała rola teatralnego wieczoru — Dziadek Henryka Bisty. Rola ta to szereg drobnych miniscenek, z których każda jest aktorskim recitalem i każda wywołuje salwy śmiechu. Bista pamięta o tym, że wchodzi na scenę po to, aby zejść na okłaskach.

Po kilku zaledwie przedstawieniach „Białego małżeństwa” zdążyła już pójść w miasto fama — w teatrze gołe baby pokazują! Upprzedzam, żeby nie było rozczarowań — są dwa biusty kobiece, jeden akt damski upozorowany na podobieństwo „Śniadania na trawie” i jeden akt kobiecy w finale, który jednak na trzecim przedstawieniu był już ubrany w gustowne dessous.

I tak to odezwały się czyjeś obsesje, z których Różewicz mógłby przewrotnie zachichotać.

A. Zielińska

Teatr „Wybrzeże” — Tadeusz Różewicz „Białe małżeństwo”. Reż. Ryszard Major, scen. Marian Kołodziej, muz. Andrzej Głowiński. Premiera 27 marca 1976 r.



i wrocławskiej, będącej próbą odczytania tego utworu na serio.

Nad gdańskim spektaklem — jak mi się wydaje — zaciążyła chęć zrobienia tego przedstawienia „przyzwyczajony”. W końcu dramat Różewicza, czy chcemy, czy nie, jest opowieścią o „tych rzeczach” — podejrzane są łóżkowe zabawy siostrzynek (Żmichowska nazywała to „posiestrzeniem”), niedwuznaczne zabawy Dziadka, oczywiście chucie Byka — Ojca. Seks i cielesność jest w tym utworze niemal namacalna, wszechobecna i skarykaturowana. Właśnie skarykaturowana i zdeformowana, czemu służą wszystkie te nosy — phallosy, tak dokładnie opisane w diaskaliach.

W spektaklu nic z tych rzeczy — i w pierwszej chwili nie bardzo nawet wiadomo, czemu Bianka się wydiera... Siostrzynek też nie łączy nic nieprzyzwoitego. Może trochę zbyt trywialnie się do siebie

męska aktywność seksualna jest przez nasz obyczaj bardziej tolerowana. Aby wyrównać nieco te braki w „nieprzyzwoitości” zmienił reżyser koncepcję postaci Beniamina. To nie jest smętny deklamator, neoromantyczny idealista, który „nie kochał jeszcze”, ale przyszyły Byk — Ojciec, który już teraz obłapia Ciotunię, a później to i kucharcę nie przepuści. Ale czy taki zgodziłby się na mariage blanc?...

Pomysł rozegrania całego przedstawienia na obrotówce jest pomysłem doskonałym. Zmieniające się jak w kalejdoskopie kolejne obrazy, ów korowód uciekających przed męskimi zapędami postaci niewieścich — jeszcze raz wkóło, i jeszcze raz...

Scenografia Mariana Kołodzieja dopełnia to, czego w tekście nie ma, daje nastrój, atmosferę. Wnętrze mieszkalne z mnogością bibelotów, zegarków sprośnych figurek i malowideł. W parku — taneczne jezioro z labędziami